Fritz Leiber

Jazda w kosmosie

(A Hitch in Space)

Worlds of Tomorrow, August 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Kiedyś, kiedy odbywałem turę służby w Shaulańskiej Straży Kosmicznej ze Skorpiona, mój partner, Jeff Bogart zafundował sobie jedną z najbardziej nieszkodliwych psychoz, jakie można sobie wyobrazić: wymyślonego przyjaciela.

W dodatku, ten wymyślony przyjaciel okazał się być mną.

No cóż, jestem całkiem miłym facetem, tak więc posiadanie na pokładzie statku mojej skromnej osoby w dwóch kopiach, nie wydawało się szczególnie kiepskim pomysłem. Początkowo. Prawdę mówiąc, pomyślałem sobie nawet, że mogą być z tego pewne korzyści. Na przykład. Jeff uwielbiał gadać do upadłego… i wyobrażony Joe Hansen mógł mi oszczędzić wysłuchiwania go, kiedy planowałem poczytać książkę, albo po prostu miałem ochotę posłuchać sobie obracających się w mojej głowie trybików, pomimo nieustannego leciutkiego stukania o kadłub padającego z dalekich gwiazd światła.

Po raz pierwszy spotkałem Jeffa w dosyć dziwnym miejscu, na kosmicznym rodeo, teraz jednak obaj byliśmy w kosmosie, na kontroli serwisowej orbitalnych latarni nawigacyjnych, przekaźników i stacji ratunkowych, krążących wokół pięciu planet układu Shauli. Kompletnie rutynowa robota, jedyny problem, że trochę przydługa. Statek, którym lecieliśmy, to jonowy jeep, wyglądający jak fantazyjne wieczne pióro, ale dla trójki ludzi bardzo przestronny – zwłaszcza jeśli jeden z nich był wymyślony.

Złapałem Jeffa na tej jego niewielkiej manii, kiedy podsłuchałem jak mówi do mnie. Właśnie skądś wracałem, z dziobu, magazynu, akceleratora linowego, a może ze swojej koi, kiedy usłyszałem jak do mnie papla. Początkowo czułem pewne zażenowanie, jak tu wrócić do kabiny, kiedy był w niej ten drugi ja. Ale potem, po prostu wparowałem do środka bez najmniejszego wahania, a Joe obrzucił mnie wzrokiem, uśmiechając się z nieco szklącymi się oczyma i powiedział ciepło:

— Joe. Mój kumpel, Joe. Jak ja się cieszę, że przydzielili nas do jednej załogi.

Jeśli Jeff w ogóle miał jakąś poważniejszą wadę, w przeciwieństwie do typowego świra, to fakt, że był on wyłącznie dobrze mówiącym, pozytywnie myślącym gościem, który zawsze mi się podporządkowywał. Nawet wręcz mnie ubóstwiał, jeśli jesteście sobie w stanie to wyobrazić. Częstował mnie tak wylewnymi peanami pochwalnymi, że wkurzało mnie to niesamowicie.

Kolejną rzeczą, która pozwalała mi się połapać, o co chodzi, było to, że zawsze określał moje drugie ja per Joseph.

W pierwszej chwili, pomyślałem sobie, że to pewnie jakiś żart, albo może celowy sposób, w jaki może dać ujście swym emocjom w stosunku do mnie, bez naruszania wizerunku zawsze-miłego-gościa — jak szczęśliwy mężuś, przeklinający po cichu w łazience – ale potem miał miejsce numer z jajecznicą.

Pewnego razu spałem do późna i kiedy zajrzałem ukradkiem do kabiny, w środku Jeff pochylał się nad talerzem pełnym żółtej masy i wymachiwał palcem w stronę mojego pustego siedzenia, wyzywając:

— Do diabła, Joseph, jedz tę swoją jajecznicę, przecież usmażyłem ją specjalnie dla ciebie! — A kiedy w parę sekund później ruszył z powrotem w stronę kambuza, oznajmił jeszcze: — Joseph, masz zjeść te jajka, zanim wrócę.

Pomyślałem chwilkę, a następnie wślizgnąłem się na swoje miejsce i wymiotłem jajecznicę do czysta.

Kiedy wpłynął z powrotem do środka, przynosząc kawę, posłał mi kolejne z tych swoich szklących się, pełnych uwielbienia spojrzeń – ale, jak mi się wydaje, tym razem był odrobinkę rozczarowany – i powiedział:

— Niech cię diabli, Joe, jesteś idealny! Zawsze wyczyścisz swój talerz!

Najwidoczniej, kiedy byłem tam ja, Joe dla Jeffa po prostu nie istniał. I vice versa. To było trochę niesamowite, szczególnie z tym kosmosem szumiącym mi w uszy jak morska muszla, i zupełnym brakiem innych ludzi w promieniu pięciu milionów mil.

Począwszy od tej jajecznicy, odkrywałem stopniowo, że Jeff nie idealizuje jakoś specjalnie Josepha, ani też nie traktuje go z nastawieniem „mój kumpel, który nie może zrobić niczego źle”, tak jak to było w moim wypadku. Podsłuchałem że zaczyna Josepha krytykować. Początkowo w rozsądny sposób; potem usłyszałem jak porządnie go beszta – w końcu grozi mu i zastrasza.

To ostatnie mnie zmartwiło, pomyślałem sobie, że może dobrze by mu zrobiło, gdyby od czasu do czasu rzucił mi w twarz jakieś ciężkie przekleństwo, zamiast tych wszystkich ostentacyjnie miłych słodkości. I w tym momencie wpadłem na pomysł pewnej amatorskiej terapii, niech Shaula-Deva zmiłuje się nade mną.

Wyczekałem na chwilę, kiedy obaj byliśmy zrelaksowani i powiedziałem:

— Jeff, problem z tobą polega na tym, że jesteś zbyt miły. Powinieneś trochę bardziej krytykować pewne sprawy. Na początek, skrytykuj powiedzmy mnie. Wytknij mi moje błędy. No, proszę.

Odrobinę się zarumienił i odparł:

— Do diabła, Joe, jak mógłbym? Jesteś doskonały.

— Nikt nie jest doskonały, Jeff — oznajmiłem poważnie, czując się strasznie głupio.

— Ale ty jesteś moim kumplem, któremu zawsze mogę zaufać — zaprotestował, lekko się wykręcając. — Wolałbym, żebyś nie mówił takich rzeczy.

— Jeff, nie możesz nikomu aż tak bardzo ufać — napomniałem go. — Nawet dobrzy ludzie czasami robią złe rzeczy. Kiedy byłem mały, był taki chłopak, Harry, którego praktycznie ubóstwiałem. Mieszkaliśmy na pogranicznej planecie Fomalhaut, na której było mnóstwo śniegu. Doczepialiśmy się sankami do startujących małych samolotów. Każdy z nas miał na sankach kawał długiej białej liny, którą zakładał wcześniej wokół statecznika na ogonie samolotu i rozciągał do sanek. Później się chowaliśmy. Kiedy tylko pilot znalazł się w samolocie, wszyscy wskakiwaliśmy na sanki, trzymając wolne końce swojej liny i mieliśmy odlotową przejażdżkę, dopóki samolot nie wystartował. Potem szybko puszczaliśmy linę z jednej strony.

— Pewnego mroźnego poranka, puściłem linę, i nic się nie stało, a ja zacząłem lecieć do góry. Harry przywiązał drugi koniec mojej liny do sanek. Pewnie mógłbym stoczyć się z sanek, ale nie chciałem ich stracić, ani nie chciałem zostawić liny. Na szczęście miałem pod ręką pochwę z nożem i użyłem go. Nawet miałem fajowe lądowanie. Ale po tym wydarzeniu, moje uczucia w stosunku do Harry'ego…

— Przestań już, proszę cię, Joe! — przerwał mi Jeff, zupełnie czerwony na twarzy i lekko rozdygotany. — Ten chłopak, Harry, był zły do szpiku kości. A ja nie chcę już słuchać o tym, ani o innych tego rodzaju rzeczach. I nigdy więcej, zrozumiałeś?

Powiedziałem mu, że, no pewnie. Cholera, powinienem zauważyć, że źle do tego podszedłem. Nawet prosiłem go o wybaczenie.

Po tym po prostu dałem sobie spokój. Jednak stwierdziłem, że nie potrafię już poświęcać tyle czasu swoim książkom, ani myślom. Cały czas nasłuchiwałem tego, co Jeff miał do powiedzenia Josephowi. A kiedy czasami przerywał, żeby wysłuchać odpowiedzi Josepha, łapałem się na tym, że również czekam aż wymyślony „ja" jej udzieli. Starałem się więc pozostawać z Jeffem w tej samej kabinie, tak długo jak tylko mogłem.

Po pewnym czasie, zaczęło mi się wydawać, że to go niepokoi, chociaż udawał, że jest zachwycony tą sytuacją. Zadawał mi takie pytania jak:

— Opowiedz mi o swoim życiu, Joe. Tak żebym wiedział jak się zachować, gdybyśmy kiedykolwiek zostali rozdzieleni.

Ale najbardziej spektakularne rzeczy miały miejsce na koniec jednostajnej służby na orbitach wokół Shauli. Nadeszła wreszcie chwila, kiedy serwisowaliśmy naszą ostatnią radiolatarnię nawigacyjną – znajdowała się ona poza planetą Shaula-by. Następnym krokiem miał być przelot po szybkiej orbicie międzyplanetarnej do Bazy na planecie Shaula-near.

Pracowałem na zewnątrz – na linie bezpieczeństwa, oczywiście, ale latając skafandrem więcej niż faktycznie potrzebowałem, tak dla czystej przyjemności, a więc zbiorniki mojego skafandra były niemalże puste. Wyłączyłem na trochę radio w skafandrze, ponieważ kiedy pracowaliśmy w kosmosie, Jeff po prostu bez przerwy do mnie nerwowo paplał – może dlatego, że wymyślił sobie, iż w jego skafandrze, Joseph się razem z nim nie zmieści.

Skończyłem robotę i zrobiłem sobie chwilę przerwy, żeby po raz ostatni popatrzeć na statek. Wyglądał urokliwie smukło, od stożkowatych kabin mieszkalnych do dyszy ogonowej silnika jonowego, ale dźwigał na sobie większą choinkę różnych rupieci, niż niedzielny asteroidowy poszukiwacz skarbów zabiera na swym skafandrze w pierwszą wyprawę w kosmos. Przed każdym wylotem w trasę serwisową, pojawiały się tłumy naukowców aby, za pozwoleniem Komendanta, powiesić na kadłubie jakiś automatyczne urządzenie badawcze. Najbardziej zwariowanym był chyba ogromny, spłaszczony pas powlekanego złotem aluminium, o grubości nieco przekraczającej zwykłą folię, przyczepiony poprzecznie tuż przed ogonem, i sterczący na dwadzieścia stóp w każdą stronę. Nie mam pojęcia, czemu miał on służyć – może do pomiaru oddziaływania przestrzeni kosmicznej na wstęgę Moebiusa – ale wyglądał jak ślubna obrączka, którą ktoś rozdeptał. A więc, razem z Jeffem, nazwaliśmy go „Zdeptaną miłością".

Ale pomimo tego całego złomu, statek wyglądał naprawdę niesamowicie uroczo na tle szafirowych stepów i pastelowo-niebieskich mórz Shaula-By, z samą Shaulą, dawną Lambda-Skorpiona, płonącą w oddali gwałtownym gorącym ogniem, i napisem „Stany Zjednoczone", namalowanym ogromnymi literami na kabinach mieszkalnych. Oczywiście, chodziło o Stany Zjednoczone Shauli.

Niemalże się rozmarzyłem, tak sobie dryfując w kosmosie, rozmyślając że pomimo wszystko ta służba może nie jest aż taka straszna, kiedy zauważyłem, że statek zaczyna się przesuwać przez tarczę Shauli.

A za jego ogonem, bardziej widmowa niż płomyk nad cafe royale, rozpościerała się niebieska poświata odrzutu silnika. W jednej chwili domyśliłem się precyzyjnie, co się wydarzyło i zacząłem wyrywać sobie włosy, że wcześniej tego nie przewidziałem. W chwilę po Jeffie pojawił się w kabinie Joseph. A Jeff zaczął na niego wrzeszczeć.

— Już najwyższy czas, ty stary głupolu! Wszystko zabezpieczone? Okay, włączam silniki!

I to ja prawdopodobnie wywołałem tę całą sprawę, opowiadając mu tamtą kretyńską historyjkę o sankach – a następnie siedząc mu cały czas na karku, tak że musiał się mnie pozbyć, żeby być z Josephem.

Tymczasem statek nabierał prędkości, w swój niezauważalny sposób, a luźna lina bezpieczeństwa, rozciągająca się między mną a śluzą powietrzną, zaczęła się prostować.

Jak wiecie, silniki jonowe, przydatne są tylko do lotów w kosmosie. Nie nadają się one do ciężkiej walki z grawitacją. Nasz mógł pracować maksymalnie tylko z jedną drugą g, a teraz dawał mniej niż jedną czwartą. Co oznaczało, że statek ruszał z miejsca wolniej niż większość samochodów naziemnych.

Ale silnik mógł działać przez całe godziny, przyśpieszając do końcowej prędkości piętnastu mil na sekundę, i zabierając statek daleko, daleko od biednego, samotnego Joego Hansena.

Oczywiście, gdybym nie był przywiązany.

Dziękowałem Bogu za tygodnie w czasie których ćwiczyłem latanie w kosmosie na linie – chociaż nigdy nie zdobyłem jakichś nagród w tej dyscyplinie – ponieważ nawet nie myśląc, zacząłem bardzo ostrożnie kręcić swoją liną. I już za trzecią próbą, dokładnie w chwili kiedy zaczęła robić się już niemal zupełnie prosta, udało mi się zaczepić nią o karb na zewnętrznej stronie „Zdeptanej miłości”. Wtedy zacząłem zwiększać naciąg liny, tak stopniowo jak tylko mogłem, pozwalając by trąc o rękawice przesuwała mi się w dłoniach, aż do chwili gdy będę mógł powierzyć jej całą swoją masę. Bo chociaż jedna czwarta g, to faktycznie niewiele, ale skumulowane przez kilka sekund, może dać w efekcie całkiem niezłe szarpnięcie. Rozłożyłem to szarpnięcie, na kilka słabszych.

No cóż, to ostatnie szarpnięcie nadeszło, lina się nie urwała, „Zdeptana miłość” mocno się nie wygięła, chociaż w świetle Shauli widać było na niej kilka paskudnie wyglądających zmarszczek. I tak ruszyłem w drogę za statkiem, chociaż lecąc nieco z boku, czując niemal tak silne napięcie liny, jakbym zwisał ze skalnej ściany na Księżycu i wiedząc że z każdą sekundą poruszam się z mniej więcej o pięć stóp na sekundę większą prędkością.

Moja koncepcja znalezienia się z boku statku (i dzięki niech będą moim odruchom za uświadomienie mi, że to była bardzo istotna sprawa!) miała na celu utrzymywanie liny oraz mnie samego poza obszarem działania silnika. Struga odrzutu silnika jonowego z boku nie wygląda na zbytnio gorącą. Ale jeśli ktoś się w niej znajdzie, to stwierdzi, że jest znacznie jaśniejsza niż światło – jest niemalże tak mocna jak promień lasera – i wolałem nie myśleć co mogłaby ze mną zrobić, nawet gdybym wpadł w nią w takiej odległości w jakiej byłem, czyli sto jardów za rufą.

Chociaż, oczywiście, na długo przedtem, zanim zniszczyłaby mnie, zdezintegrowałaby mi linę.

Ciężar mojego ciała w kosmosie z boku, musiał wytrącić statek z równowagi pracy silników i prawdopodobnie zmienił jego kurs w kierunku bazy i Shaula-near, stopniowo wprowadzając do niego coraz większy błąd. Ale to było najmniejsze z moich zmartwień, możecie mi uwierzyć.

Zacząłem trochę myśleć i przypomniałem sobie, że mogę porozmawiać z Jeffem przez radio swojego skafandra. Zdecydowałem się spróbować tego, nie bez pewnych obaw.

Włączyłem je językiem i powiedziałem:

— Jeff. Posłuchaj mnie, Jeff. Jestem na zewnątrz. Zapomniałeś o mnie.

Miałem zamiar powiedzieć jeszcze coś więcej, ale wtedy on wszedł mi w zdanie z gniewem i tak głośno, że mój hełm aż zaczął dzwonić echem:

— Joseph? Czy słyszałeś coś przed chwilą?

Nastąpiła chwila przerwy i znów:

— No to, wyczyść sobie uszy, ty głupcze, bo ja tak! Chyba tam na zewnątrz mamy jakiegoś wroga!

Kolejna i to dłuższa przerwa, w czasie której moja krew ścięła się i zrobiła nieco gęstsza, a potem:

— No dobrze, niech ci będzie, Joseph. Tym razem postąpię zgodnie z twoją radą. Ale jeśli usłyszę wroga jeszcze raz, założę skafander, wezmę karabin i będę siedział we włazie śluzy, dopóki go nie zastrzelę!

Wyłączyłem szybko językiem radio, ze strachu, że jeszcze mógłbym kichnąć, czy coś podobnego. Na pocieszenie miałem jedną kiepską rzecz: Joseph zdawał się być odrobinkę po mojej stronie, chociaż może mu się tylko nie chciało.

Pomyślałem jeszcze trochę, teraz już odrobinę gorączkowo, i po chwili powiedziałem sobie: *Do tej pory minęło już pięć minut, a więc robię jakieś ćwierć mili na sekundę – to dwadzieścia pięć mil na minutę, jasna cholera! – ale tu w kosmosie prędkości mają wyłącznie charakter względny. Mój skafander na pełnym gazie może dać nieco ponad jedną czwartą g. No dobrze. Lecę na statek.*

Ruszyłem, zanim jeszcze skończyłem myśleć – zaczynałem trochę za bardzo polegać na odruchach. Skafander natychmiast zniwelował moją fałszywą wagę i wyruszyłem, niesamowicie uważnie celując swym ciałem wzdłuż liny i trochę na zewnątrz od niej, tak aby nie wlecieć przypadkiem w odrzut silników.

Wkrótce ogon statku i „Zdeptana miłość", zaczęły robić się zauważalnie większe.

Później znacznie większe.

I wtedy w moim skafandrze skończyło się paliwo.

Rozpędziłem się do dosyć dużej prędkości, tak że przez parę następnych sekund ciągle jeszcze zyskiwałem nad statkiem. Prawdę mówiąc, niemalże mi się udało. Moja rękawica była już bardzo blisko „Zdeptanej miłości", kiedy statek powoli zaczął się oddalać. Och, to było naprawdę frustrujące!

Pamiętałem wtedy o tym, o czym powinienem pomyśleć dużo wcześniej, żeby złapać za swoją linę bliżej statku, tak by nie stracić dystansu, który zyskałem – i w pośpiechu odtrąciłem ją od siebie. Na szczęście nie wypadła z karbu na którym się trzymała.

Teraz jednak traciłem odległość do statku, coraz szybciej i szybciej. Chwilowo wszystko co mogłem zrobić, to zwijać linę ze swojego końca, śpiesząc się ze wszystkich sił. Nagle lina cała się naprężyła i szarpnęła mną mocniej, niż zamierzałem. Widać było, że „Zdeptana miłość" trochę się zgniotła. W dodatku zacząłem się nieco kołysać, jak wahadło.

Użyłem tarcia rękawicy, by wytłumić pozostałe szarpnięcia, ale ponownie znalazłem się na końcu liny, a „Zdeptana miłość" powyginała się jeszcze bardziej, zanim znowu zacząłem lecieć równo ze statkiem.

Z mojej strony „Zdeptana miłość" ugięła się o jakieś dwadzieścia stopni. Oko wiązki silnika jonowego świeciło na mnie z ogona statku, jak blado-niebieski księżyc. Przez chwilę, rozjaśniało się ono i przyciemniało w rytm niemalże zegarowych wahań.

Ja tymczasem plułem sobie w brodę, za to że nie pomyślałem wcześniej o oczywistym, powolnym ale bezpiecznym sposobie dotarcia do

statku, zamiast tego obłąkanego latania skafandrem. Kiedyś słyszałem jak jakiś psycholog mówił, że jesteśmy mentalnymi niewolnikami potęgi maszyn, i pewnie coś w tym musiało być.

Przecież, był jeden oczywisty sposób – mogłem ręka za ręką podciągnąć się po linie do statku. Przy ciążeniu odpowiadającemu księżycowemu, powinno to być proste. Gdybym się zmęczył, zawsze mogłem zapiąć linę i odpocząć.

Poczekałem więc, aż moje emocje nieco opadną, a potem złapałem za linę i łagodnie, ze średnią siłą, pociągnąłem za nią.

Być może w tym ESP coś jest – a przynajmniej w jakimś diabelskim sensie – ponieważ wybrałem sobie dokładnie tę samą chwilę, kiedy Jeff zdecydował się zwiększyć moc działania silników.

Nastąpiło silne szarpnięcie i zobaczyłem, że „Zdeptana miłość" bardzo się zgniotła; tak mocno, że wygięła się o ponad czterdzieści pięć stopni w stronę rufy.

W chwili obecnej czułem stały naciąg ze strony liny, z taką siłą, jakbym wisiał ze skały na Marsie. A oko wiązki zmieniło się w niebieski księżyc, już nie taki blady – prawdę mówiąc bardziej stało się podobne do palącego niebieskiego słońca, widzianego przez delikatną mgiełkę.

Po tych wydarzeniach, nie miałem już odwagi, aby próbować ponownego podciągania się. Raz, bardzo ostrożnie, próbowałem delikatnie przesunąć się po linie, ale przy pierwszym jej uchwycie wydawało mi się, że „Zdeptana miłość" pod liną ugięła się jeszcze odrobinę mocniej, dałem sobie na dobre spokój.

Wyliczyłem, że przy takim przyśpieszeniu, Jeff powinien nabrać prędkości odpowiedniej do lotu na Shaula-near, w ciągu niecałych dwóch godzin. No cóż, tlen i chłodzenie w skafandrze miałem zapewnione na znacznie dłuższy czas.

Oczywiście, gdyby Jeff zdecydował się nie zmniejszać zgodnie z rozkładem siły ciągu silników, bo powiedzmy wpadnie razem z Josephem na pomysł lotu do sąsiedniego układu – no cóż, zobaczymy wtedy, czy ubytek tlenu w skafandrze nie zmobilizuje mnie na tyle, abym ponownie spróbował podciągnąć się do statku.

(Albo mogę poczekać, aż nabierzemy szybkości bliskiej prędkości światła, a kiedy dzięki Szczególnej Teorii Względności długość liny skróci się na tyle mocno, abym mógł przeskoczyć na pokład, jeżeli będę miał już tego wszystkiego dosyć… *Nie, Joe, przestań* — powiedziałem sobie w duchu, — *nie chcesz umierać z klepkami w głowie, w kompletnym pomieszaniu*.)

Te rozmyślania o wiązce silnika jonowego, sprawiły że zacząłem zastanawiać się, jak daleko od niej jestem. Odłączyłem antenę swojego skafandra, rozłożyłem ją na pełną długość – mniej więcej osiem stóp – i zacząłem nią wymachiwać w kierunku wiązki silnika. Nie zaczęła się świecić, ani nic takiego; ale przeżyłem naprawdę potężny wstrząs, gdy ściągnąłem ją z powrotem. Zobaczyłem, że dobre trzy cale na końcu zniknęły, a kilka następnych było podziurawione. Tyle, jeśli chodzi o ciekawość.

Potem ponownie przymocowałem antenę do skafandra – co okazało się być znacznie bardziej kłopotliwe, niż jej odłączenie – i włączyłem językiem radio, żeby trochę posłuchać Jeffa.

Niemal natychmiast usłyszałem jego głos, mówiący:

— Obudź się, Joseph! Mam zamiar jeszcze raz wymienić twoje błędy. Znalazłem nowy sposób na ich uporządkowanie – chronologicznie. Zacznijmy od dzieciństwa. Doczepiałeś się sankami do samolotów. To było niedobre, Joseph, niezgodne z prawem. Gdyby pilot złapał cię jak to robisz, gdyby cię zobaczył jak śmigasz, uczepiony do tyłu jego samolotu, miałby wszelkie prawa, żeby cię zastrzelić, bez zmrużenia oka. Życie jest ciężkie, Joseph, życie jest bezlitosne…

W tej samej chwili, poczułem łechtanie w gardle.

Próbowałem szybko wyłączyć radio, ale strasznie trudno jest zrobić cokolwiek językiem, kiedy czujesz nadchodzący atak kaszlu. Skończyło się to serią piskliwych stłumionych czknięć.

— Obudź się, Joseph i posłuchaj — usłyszałem jak mówi Jeff. — Znowu się zaczęło. Tym razem, to jakieś zwierzęce odgłosy. Joseph, wiesz może, czy udało im się stworzyć skafandry kosmiczne dla czarnych panter?

Szybko wyłączyłem językiem radio, zanim nadeszły kolejne ataki kaszlu.

Nie zostało mi nic innego do roboty, jak tylko myśleć. A więc, zacząłem rozmyślać o Jeffie – o tym, że wydaje się jakby istniała cała gromada Jeffów: pierwszy, który nienawidził mnie do szpiku kości, drugi ubóstwiający mnie, kolejny skradający się przez dżunglę pełną szablozębych tygrysów i… do diabła, pewnie było co najmniej ze dwudziestu Jeffów, siedzących mu w głowie, niektórzy w pełnym świetle, inni w ciemności, ale wszyscy oni przez cały czas obserwowali się wzajemnie i kłócili się ze sobą. To był dziwny sposób patrzenia na osobowość – coś w rodzaju nieustannego spotkania przy kawce – ale miało to swoje podstawy. Być może niektórzy z tych małych ludzików nie byli w ogóle Jeffami, tylko jego matką, ojcem czy też jaskiniowym przodkiem, a może do dyskusji wtrącał się też od czasu do czasu jakiś jego pra-pra-prawnuk z przyszłości…

No cóż, zobaczyłem, że te spekulacje zaczynają wymykać mi się z rąk, tak więc, biorąc sobie do serca wskazówkę Jeffa, zacząłem wyliczać w myślach swoje własne grzechy.

Zajęło to trochę czasu. Niektóre z nich były całkiem interesującymi tematami do rozmyślań, niemalże wystarczającymi, aby oderwać moją uwagę od obecnych kłopotów, ale w końcu nawet i one mnie zmęczyły.

Wtedy zacząłem liczyć gwiazdy.

To były naprawdę najdłuższe dwie godziny z haczykiem, jakie kiedykolwiek przeżyłem, poza może okresem kiedy z mojego życia zniknęła pierwsza poważna dziewczyna. Nie jestem tego pewien. Te doświadczenia są trudne do porównania.

Byłem już mniej więcej w połowie rachuby gwiazd, gdy poczułem nieważkość. Przez jedną okropną chwilę pomyślałem sobie, że to w końcu urwała się lina, ale potem popatrzyłem w stronę statku i zobaczyłem, że jasny mały księżyc zniknął.

Natychmiast kilka razy pociągnąłem za linę i zacząłem powoli zbliżać się do ogona statku. Żadnych kłopotów – prawdę mówiąc, moim jedynym problemem było oparcie się pokusie nabrania większego pędu, co mogłoby się skończyć twardym lądowaniem.

Bez kłopotów wyhamowałem miękko na „Zdeptanej miłości", poza tym, że wywołało to wielką iskrę. Wiązka silnika musiała mnie nieźle naładować. Potem pokonałem drogę do prawdziwego kadłuba. Tam złapałem się uchwytów.

Przy ich pomocy przedostałem się do portu widokowego w pomieszczeniach załogowych. Zajrzałem przez niego do środka. Zobaczyłem jak Jeff mówi coś w stronę mojego pustego fotela. Przyłożyłem hełm do kadłuba i bardzo cichutko usłyszałem jak mówi:

— Joseph, ciągle martwię się tym wrogiem. Przez cały czas mi się wydaje, że go słyszę. Muszę zrobić nam trochę kawy, tak żebyśmy mogli zachować pełną czujność. Ty przygotuj broń.

Nie przypuszczam, by ktokolwiek i kiedykolwiek poruszał się w skafandrze tak cicho i szybko, jak ja. Dostałem się do śluzy, wyrównałem w niej ciśnienie powietrza, zdjąłem z siebie skafander – i wszystko to w mniej niż pięć minut. Jestem tego pewien. Może nawet było to mniej niż cztery.

Wpłynąłem do kabiny. Była pusta. Wślizgnąłem się w swój fotel dokładnie w chwili, kiedy w kabinie pojawił się Joe z kawą.

Kiedy mnie zobaczył zrobił się naprawdę blady. Zorientowałem się, że tym razem może być problem z przestawieniem się Joseph-Joe. Ale wiedziałem, że jedyny sposób na rozegranie tego, to zachować naprawdę kompletny spokój. Rozsiadłem się w swoim fotelu, jakbym nie miał kompletnie żadnego zmartwienia, ani troski – chociaż moje nerwy i gardło aż wyły o łyk tej kawy.

— Joe! — pisnął w końcu. — Mój Boże, ale mnie wystraszyłeś. Myślałem, że dałeś drapaka, że ruszyłeś przez kosmos sam. Nieustannie wydawało mi się, że nie ma cię na statku.

— Ależ skąd, Jeff — odpowiedziałem spokojnie. — W ten, czy w inny sposób, siedziałem w tym fotelu przez cały czas, od chwili startu.

Brwi mu się zmarszczyły, kiedy zaczął nad tym myśleć.

Popatrzyłem na pulpit i zauważyłem, że nasza końcowa prędkość podróżna wynosiła piętnaście mil na sekundę. No, no.

W końcu Joe oświadczył:

— To prawda, byłeś tutaj. — A potem dodał, z lekkim odcieniem żałości w głosie: — Powinienem wiedzieć. Ty zawsze mówisz prawdę, Joe – jesteś przecież doskonały.

KONIEC